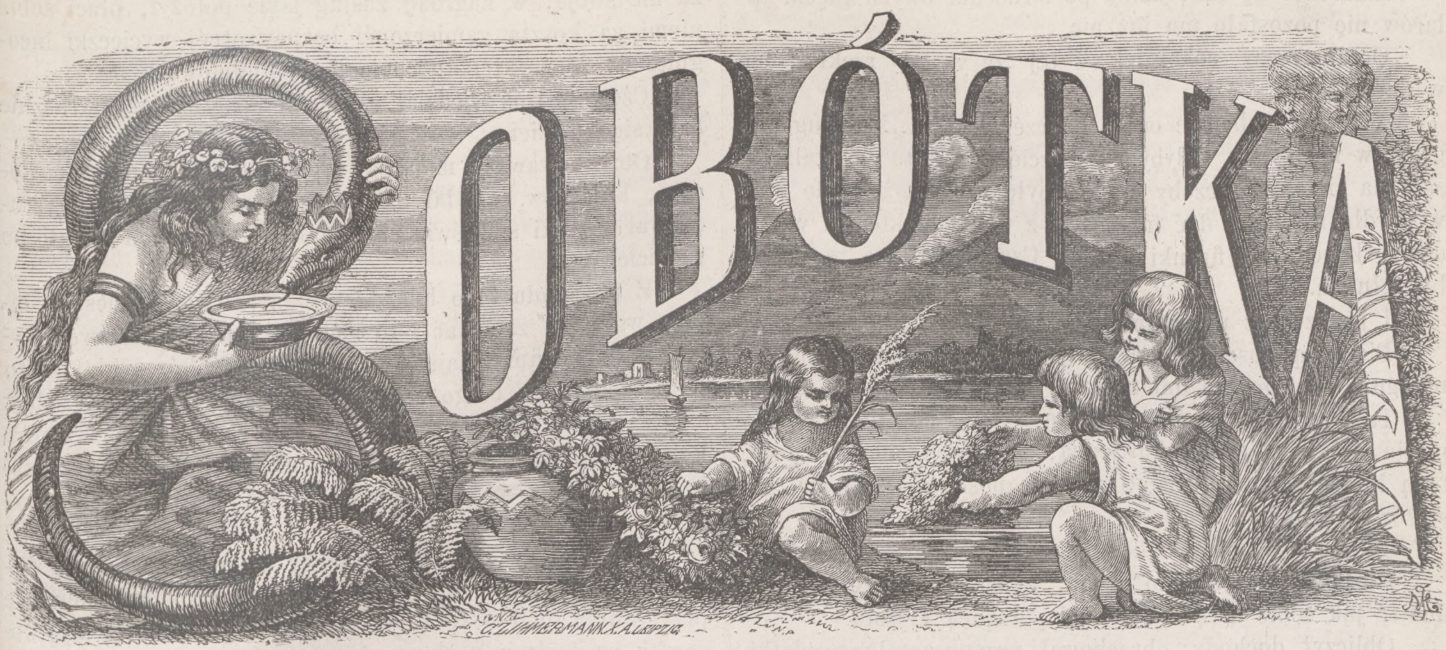
Nr. 28. Poznań, dnia 8. Lipca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE

(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

II.

Po takim dobrym początku, jak owa scena w sam dzień śmierci matki, należałoby się spodziewać, że Czesław Duś puści się całym zapędem hamowanéj i krępowanéj dotąd młodości na drogę użycia tego wszystkiego czego mu dotychczas zabraniano, i że tą drogą spadzistą pędząc z wzrastającym w każdéj chwili pośpiechem do przepaści, straci majątek i zdrowie, słowem wyjdzie tak jak zwykle wychodzą ludzie jemu podobni, gdy się dorwą pieniędzy i poczują panami swéj woli.

Tak się jednak nie stało, a złożyły się na to aż trzy przyczyny: Czesław Duś był słabego zdrowia, skutkiem kalectwa; zapamiętał niektóre z rad swojéj matki, te mianowicie które najbardziéj przypadały do jego charakteru i usposobienia; a wreszcie odziedziczył po matce dosyć daleko posuniętą oszczędność.

Parę kieliszków wina wypitych bez pozwolenia odurzyło go, papierosy i cygara przyprawiły o mdłości, delikatniś mało nie odchorował swoich zbytków. A choroba to wstęp do śmierci, jak mu powiadała matka. Czując się osłabionym Czesław Duś się przeląkł, przestrach wywołał zbawienną reakcyę, postanowił sobie strzedz się nadal nadużyć, tak jak gdyby żyła matka.

Niewiadomo czyby dotrzymał tego postanowienia, boć wszyscy młodzi ludzie puszczający się na złą drogę robią sobie podobne przyrzeczenia, póki im głowa dymi jeszcze winem a w ustach pali gorączka przesytu; ale gdy nazajutrz po pogrzebie matki zabrał się do obliczenia pozostałego po niéj majątku, którego był uniwersalnym spadkobiercą, przekonał się z przerażeniem, że oprócz domu, gotówki było tylko jedenaście tysięcy dziewięćset dziewiędziesiąt pięć talarów.

Drżał już czy go nie okradli, bo matka wyraźnie powiedziała mu przed śmiercią, że pozostawia dwanaście tysięcy przeszło w gotowiźnie, ale rachunek dokładny wykazał, że „przeszło“ poszło na koszta pogrzebu i byłyby zostały okrągłe tysiące, gdyby był na ową stypę ze znajomemi pięciu talarów nie przepuścił.

Bez pięciu talarów nie mogło być okrągłéj sumy.

Tu znów przypomniały mu się słowa matki, która doń mawiała:

„Czesławku! pamiętaj, że talar brakujący do tysiąca prędzéj za sobą pociągnie dziewięćset dziewiędziesiąt dziewięć talarów niż da się tym dziewięciuset dziewiędziesięciu dziewięciu napowrót przyciągnąć.“

Czesław Duś załamał ręce.

„Otóż zaczynam się rujnować“, rzekł do siebie, „matka mówiła prawdę, bez talara niema tysiąca, bez tysiąca niema tuzina tysięcy.

Zmartwił się tak, jakby po straceniu owych pięciu talarów nie pozostało mu już nic.

Ochłonąwszy cokolwiek z téj zgryzoty, rzekł sobie w duchu.

„Trzeba to będzie odbić na czém inném... a drugi raz głupstw nie robić. Gdybym wreszcie wydał te pięć talarów sam na siebie, jeszczeby mi nie było ich tak żal; ale wlać w gardła ludziom, dać im puścić z dymem, którym w dodatku kopcili mi firanki... nie, Czesławku, na to trzeba być głupim...“

I jeszcze raz przypomniał sobie słowa matki:

Pierwszą zasadą mądrości jest: „nie potrzebuj nic od nikogo i swojego nie daj nikomu.“

Ta maksyma wydała mu się w owéj chwili żałoby po pięciu talarach taką zbawienną, tak salomonowo-mądrą, taką błogosławioną i gruntowną, że postanowił do niéj zastosować całe swe życie.

To postanowienie wykonał święcie.

Złożywszy matkę do grobu, wrócił do domu i zaczął dumać jak sobie urządzić koléj i porządek żywota.

Obliczył dochody, obrachował przypuszczalne wydatki, potém odjął jedne od drugich i przekonał się, że różnica była korzystna.

„Ułożyłem sobie budżecik“, rzekł zadowolony, „i nie przekroczę go nigdy. Z reszt pozostających co roku będę mógł zwiększać kapitalik, sumka urośnie, będę bogatszym niż jestem, a wtedy...“

Zakład o pięć przeciw jednemu, że czytelnik nie zgadnie co sobie Czesław Duś proponował robić gdy będzie bogatszym.

„A wtedy“, dokończył w myśli, „będę mógł jeszcze więcéj oszczędzać.“

Dla kogo? po co? na co? w jakim celu?... kiedy te oszczędności miały być napoczęte?... temi pytaniami nie zaprzątał sobie głowy Czesław Duś. Metafizyka tego rodzaju nie należała do programu nauk, które mu wykładały guwernantki.

Najwięcéj ludzi do przesady oszczędnych, a zwłaszcza też chciwców i spekulantów, którzy na groszu dwa pragną zarobić, robi oszczędności dla złodzieja. Pieniądze, któremi zamierzali pieścić swoje oczy do zgonu, zabiera im najczęściéj jaki dowcipny bankrut, który po długiem używaniu za nie swoje, w nagrodę zasług jakie położył, płaci sobie niemi za koszta zamierzonéj bezpowrotnéj wycieczki incognito do Ameryki północnéj albo południowéj.

Czesław Duś wiedział o tém, bo matka jego strasznie bała się złodziei.

Obrachowawszy majątek, opatrzył zamki u szaf, komód, kuferków, poddał najściślejszéj rewizyi drzwi, wystudyował skrytki staroświeckiego biurka, które mu zostało po rodzicielce.

Z przeglądu tego był zadowolony. Pani Agnieszka lubiła wszystko zamykać i to na klucz nielada, których wytrych nie zastąpi. Najmłodszy z jéj jedynaków oddał za to hołd należny jéj błogosławionéj pamięci, i powiedział sobie:

„Trzeba będzie iść w ślady mamy, bo to była mądra kobieta. Ułożę sobie przedewszystkiem dziesięcioro przykazania domowego i pilnować się będę zawsze tych przykazań...“

Nie wiemy czy przyszło kiedy do ułożenia całego dekalogu, ale to pewna, że Czesław Duś jako dwa pierwsze przykazania przepisał sobie oglądać i próbować wszystkie zamki wychodząc z domu i toż samo robić po przyjściu, i że tych przykazań dochowywał równie ściśle jak owego „przykazania miłości“, któreśmy już powtórzyli: „nie potrzebuj nic od nikogo i swojego nie daj nikomu.“

Przez wytrwałe pilnowanie się dwóch pierwszych swoich przykazań, Czesław Duś zdobył sobie opinię dziwaka, stosując się konsekwentnie do trzeciego doszedł do tego, że go ogłoszono człowiekiem złym i bez serca.

Kpił sobie z tego i miał racyę. Zasada za którą go potępiano nie była przecież niczém więcéj jak ową zasadą „Self-help“, radź sobie samemu, zasadą o któréj Samuel Smiles napisał sporą książkę, i zarobił na niéj tyle, że sobie z tego zysku wystawił domek, jakiegoby mu nietylko Czesław Duś, ale niejeden galicyjski hrabia mógł pozazdrościć.

Tak jest, była to ta sama zasada, tylko ujęta w system, zaokrąglona, udogmatyzowana, z przestrogi, żeby więcéj liczyć na swoje siły niż na cudze, zamieniona w niezmienne prawo, zabraniające liczyć na czyjąkolwiek pomoc oprócz własnéj i opatrzone rygorem odwetu, to jest zwalniające zupełnie swego wyznawcę od dopomagania komukolwiek.

(C. d. n.)

SŁÓW KILKA O WYCHOWANIU

przez

Starego Pedagoga*).

Ojciec i matka.

Lubo wychowanie dziatek głównie matki jest zadaniem, to jednak rzadko znajdzie się matka, któraby sama była w stanie dójść do pomyślnego rezultatu; ojciec wspierać ją w tém musi. Naodwrót są to wyjątkowe tylko przypadki, gdzie ojciec bez współudziału matki pożądanego celu dochodzi. Ojciec przysposobi łatwiéj chłopca na męża, matka zaś dziewczę na niewiastę. Chłopcy bez twardéj ręki mężczyzny stają się zwykle prostakami lub niewieściuchami. Dziewczęta bez miękkiéj miłości matki pozbawione są zwykle prawdziwego niewieściego charakteru. A więc tylko pod wpływem ojca i matki, uzupełniających się wzajem, zacierających obustronne niedostatki, może wychowanie domowe wydać najsłodsze i błogie owoce. Szczęśliwe dla tego te dzieci, które dopóty były przy boku swoich rodziców, do-

*) Patrz Nr. 22 i 23 Sobótki.

póki doświadczenie ich nie dojrzało i charakter się nie ustalił.

Wspólne wychowanie rodziców zdoła cel osiągnąć najwyższy. Czemuż go często nie osięga? Czemuż codzienne doświadczenie zadaje kłam naszym twierdzeniom? Czemuż nieledwie na każdym kroku słyszymy pełne znaczenia słowa: „źle wychowany“? Na zarzuty te więcéj jest niż jedna odpowiedź. Tym razem wszakże poprzestaniemy tylko na jednéj; ale wpierw zapytać się musimy: „Czyż niema przykładów dobrego wychowania domowego?“ Byłoby występkiem, gdyby tak twierdzić chciano; w wielu jednak razach widać tylko rezultaty takowego, ale nie drogi, jakiemi się doń doszło.

Ażeby dobrze zrozumieć różnicę wpływu ojca i matki, zajrzeć musimy w życie.

Młodzieniec i panna poznają się nie tylko w salonie, nie tylko w olśniewającym stroju balowym, nie tylko tam gdzie się z zewnątrz oceniają, lecz i w kole spokojnego domowego życia, w skromnym ubiorze domowym, bez przepychu i nęcącego blichtru. Na tém polu uczą się szanować siebie a mocni przekonaniem, nie zamykającém oczu na wzajemne słabości, uczuwają ową prawdziwą miłość, która jedna zdoła zapewnić trwałe szczęście małżeńskie. Szczęśliwa rodzina i życie w niéj, jeżeli w tych się warunkach stworzyła — na takim gruncie wychowanie dobry owoc wydać musi. Słowa księdza przy ołtarzu: „Wychować musicie dzieci wasze!“ nie przebrzmiewają w upojeniu szczęścia; przypominają one im owszem powinność, która jest źródłem nowego szczęścia. Jeżeli nie lękamy się trudów i kłopotów, jeżeli się nie cofamy przed wychowaniem, to rezultat przekona, że ono jest najszlachetniejszém i najpiękniejszém polem, na którem kiełki wschodzące i stopniowy ich rozwój a nareszcie dojrzewanie obdarza ogrodnika godzinami roskoszy niewypowiedzianéj. Rodziców troskliwych rozumnie o dzieci nie zadowolni powierzchowne wychowanie. Wiedzą oni że jak ogrodnik, rękodzielnik, przejść musi szkołę nim dojdzie do doskonałości w swym zawodzie, tak i rodzice uczyć się wychowania muszą. Środkami do tego są dzieła podające objaśnienia, rady dojrzałych i wykształconych ludzi. Zasady te, cel ich zabiegów i droga, na któréj doń dojść mogą, stają się wspólnemi w poufnych rozmowach. Wtenczas tylko, gdy ojciec i matka idą jedną drogą i w ten sam sposób, gdy oboje mówią zawsze jakby jednemi usty, wyrabia się w umyśle dzieci prawdziwa owa cześć ku rodzicom, która daleka od bojaźni, wydaje miłujące posłuszeństwo i pewne do rodziców zaufanie.

Pełni wzajemnego do siebie zaufania, postępuje ojciec i matka daléj pewnym krokiem na raz obranéj drodze. Żadna ich nie napada lękliwość ni wątpliwość, którą dzieci uważać zwykły za słabość. Nie mają oni potrzeby ani ganić, ani odwoływać rozkazów, a tém mniéj czynić sobie wyrzuty. Każde z nich cieszy się w całéj pełni owym respektem, który oboje posiadają i dla tego nie będzie żadne potrzebowało używać drugiego na poparcie swéj powagi lub na usprawiedliwienie własnego postępowania. Wyniki spostrzeżeń swoich udzielają sobie starannie; spostrzeżenia duchowe równie dokładnie a nawet dokładniéj niż objawy życia zewnętrznego powinny być komunikowane. W ten sposób pouczają się wzajemnie i porozumiewają w pojedyńczych przypadkach; takie bezustanne odświeżanie, kształcenie się i rozszerzanie widnokręgu, utrzymuje w żywym interesie ideę wychowania.

Tak postępować powinien ojciec i matka, tym jedynie sposobem mogą oboje wywierać na dzieci wpływ dobroczynny.

Zastanówmy się teraz co takiemu postępowaniu stoi często na przeszkodzie.

Gdy nowożeńcom dopiero po dniach miodowych, po tygodniach lub miesiącach otwierają się oczy, kiedy przemijający urok lub różne zewnętrzne stósunki i względy skojarzyły węzeł małżeński, czyż natenczas umysł po rozczarowaniu i po szale ma znaleść spokój, ochotę i odwagę, by z całą gorliwością oddać się wychowaniu dziatek? A ileż krom tego sprowadza złego lekkomyślność, niewiadomość, przyzwyczajenie i złe przykłady. Szczęście domowe staje się urojeniem, familia formalném kołem uprzejmostek, dom teatrem wojny, na którym niezaufanie berło dzierży, zazdrość gra rolę pokojówki, intrygi są aktorami, a strony słowy i czyny walczą z sobą o naczelną władzę lub korzyści. Na malców nikt nie uważa, sądząc, że tego jeszcze nie rozumieją. Lecz prędko oni dojrzewają. Niedogodności podobnego życia oboje starają się unikać na swój sposób i wynagrodzić sobie w inném otoczeniu. A teraz wychowuj ojcze! — Wydajesz może rozumne, mądre rozkazy, lecz władza twoja nie wystarcza. Wpływ matki staje ci na przeszkodzie i głęboko wpaja się w serca twoich dzieci. Kary twoje stają się barbarzyństwem, gotującem ci gniewy, walki, kłopoty i odwracającém od ciebie jeszcze bardziéj serca dziatek. Napominania twoje stają się nieznośnemi perorami, do których nikt żadnéj nie przypisuje wagi. Karzący twój wzrok wynagradza im matka serdecznym pocałunkiem, słowo gniewne łakociami; gdy chcesz karać, opiera się czynnie twemu prawu. Kara dokonana wywołuje potok łez i skarg. Jeżeli ci się nie uda żony twéj, matki twych dzieci naprawić i miłością doprowadzić do upamiętania, przestań trudów nieszczęsny! Jeżeli położenie twoje na to pozwala, oddal dzieci od siebie daleko, daleko! Jest to wielka ofiara, lecz w oddaleniu zachowa się z pewnością miłość dziecięcą lepiéj i mniéj się zamąci niż w takim domu. U obcych ludzi znajdą lepszych rodziców, niż w domu pozostawili.

Równie nie wiele zdziała matka, jeżeli ojciec stanie jéj w drodze. Pragnie ona serdecznie porozumieć się z nim, lecz on nie ma do tego ni serca ni zmysłu. Nierozsądny odrzuca prośbę jéj z urąganiem. Matka stara się o obyczajność, przyzwoitość, skromność i porządek w słowach i postawie, w tém lekkomyślna nieraz lub urągająca uwaga ojca obala wszystko co z takim mozołem zbudowała. Ojciec nie lęka się często w obecności dzieci ganić ostro postępowanie matki a nawet daje im w stokrotny poznawać sposób jak mało ją szanuje. Słowami gorącemi, z kochającego serca płynącemi stara się matka zaszczepić w nich zamiłowanie prawdy. Ojciec nic o tém nie wie. „Świat cały pełen kłamstwa i złości!“ woła w obecności dzieci, dla których świat powinien być jak najdłużéj rajem; ztąd też naturalną zdaje się być dzieciom rzeczą, jeżeli kłamią wraz z kłamli-

wym światem a słowa nawet matki wydają im się być jeżeli nie — kłamstwem — to przynajmniéj nie wiarogodne. Jakże to często powtarza serce dziecka a nawet usta: „Ty ojcze lub matko jesteś ladaco!“ — „Ty tego nie rozumiesz!“ — „Ja to lepiéj wiedzieć muszę.“ — A równie często i to nie tylko w najniższych warstwach ludności słyszeć się dają wychodzące z ust dzieci słowa obelżywe i złorzeczące; objawy te smutne są następstwem postępowania rodziców, którzy często nieumyślnie i w niewiadomości podkopują wzajemnie powagę swoją i z osobna każde burzy to, co drugie zbudowało.

Wychować może tylko ten, co posiada w całéj pełni powagę w obec wychowańca swego. Każda słabostka, dostrzeżona przez ucznia, pobudza go do wykroczeń. Od pierwszéj chwili samopoznania musi się w dziecku obudzić uczucie zależności i chęć wyswobodzenia się od niéj, — ale obok tego dla dobrych i rozumnych rodziców czuje ono cześć, miłość i wdzięczność! — O zaiste silnych potrzeba środków i wpływów zewnętrznych, by budowę na takim zniszczyć gruncie! Kto więc pragnie szczęścia dziecka, kto nie chce przykładem obalać tego co wyrazem wpoił, niech się stara aby rodzice w obec dzieci nie byli rozdwojeni lecz jedni.

Obiecaliśmy odpowiedź na zapytanie, na początku niniejszego artykułu umieszczone. Odpowiedź ta brzmi: Przyczyną wad bywa często niezgoda pomiędzy ojcem a matką panująca. Słodkie miano „ojciec! matka!“ napełniające roskoszą każde serce rodzicielskie, jest zarazem pełném znaczenia przypomnieniem jednego z najważniejszych obowiązków życia.

NA TUŁACTWIE.

Luźne kartki z teki J. Gordona.

(Dokończenie.)

II.

Opór wydania emigranta Austryi. — Protekcya amerykańska.

W lochu ciemnym, wilgotnym,
Tułacz na słomie leży;
K'woli chwilom samotnym
Pamięcią w przeszłość bieży;
I co kochał, co lubił,
Czemu duszę poślubił,
Z czém myśl, życie skojarzył,
O wszystkiém, wszystkiém zapomniał.

Mój towarzysz, pan S***, zastał w Nicei swą siostrę w stanie zdrowia zatrważającym i postanowił nie odstępować jéj łoża; — gdyby zaś miała przyjść do zdrowia, zamierzał odprowadzić ją do Polski. Tak więc wypadło nam się rozstać.

Żegnając się z kolegą, nie odbierałem mu słodkiéj nadziei odwiezienia siostry na rodzinną ziemię, chociaż nie wierzyłem w jéj długi żywot.

Zazwyczaj doktorzy wyczerpawszy zasób swoich leków na chorym, w słońcu Nicei każą mu szukać ratunku.

Lecz marna to kuracya! Nicea wylicza, ile corocznie zdrowych do siebie zwabiła; ale chorych nie wiele wyleczyć by mogła.

Ciepłe powietrze, wzmacniającą mgłą morską zwilżone, przedłuża tam tylko i łagodzi boleść ostatnich chwil cierpiącego (podobnie jak w Pizzie); lecz śmierć, nieco zmiękczona, przecina tam także w postaci snu anioła, nić życia człowieczego, jeno ciszéj i spokojniéj, niż gdzieindziéj.

Nie widząc potrzeby zapuszczania się daléj na południe Europy, zdrowy na ciele i duszy, umyśliłem kierować się ku północnym jéj portom, a z tamtąd popłynąć na drugą półkulę, do kraju wolnego od despotyzmu dwóch skrajnych hierarchii: wojskowéj i klerykalnéj, tak zbliżonych do siebie sposobem organizacyi, i niszczących wszystko, co między niemi staje.

Do ostatecznego kroku w tym względzie przyczynił się przeważnie rozgłos o zdarzeniu, o którym głosiły w swoim czasie gazety świata. Było ono następujące:

Niejaki p. Kosta, emigrant węgierski, za przybyciem do Nowego Yorku udał się do City-Hall (na ratusz), i tam w trybunale, wydziale naturalizacyi, złożywszy wedle ustaw miejscowych przysięgę, jako się „wyrzeka wszystkich królów, książąt i potentatów, a mianowicie cesarza austryackiego“ (pod tym bowiem był urodzony), złożył jednocześnie i urzędowną deklaracyę o swéj chęci zostania obywatelem krajowym, i opłacił taksę dwudziestu pięciu centów za wydaną mu kartę z tekstem pomienionéj deklaracyi.

Po wielu latach niewoli, był to niejako nowy chrzest dla losem ściganego Węgra.

Nie czekając on atoli czasu lat pięciu, prawem przepisanego, do ukończenia swéj naturalizacyi, wziął paszport, gdzie zamiast „obywatelowi“ wyrażone tylko było: „intencyonowanemu zostać obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki“, i udał się z nim do Smirny czy Konstantynopola podczas wojny krymskiéj.

Konsul austryacki powziąwszy wiadomość o przybyszu, złapać go kazał swoim drabantów (kawasom) na ulicy, jako przestępcę politycznego, który po rokoszu węgierskim 1849 roku zdołał ujść przed poszukiwaniem policyi, i uwięzić na okręcie mającym odpłynąć do Tryestu; nie zwracając bynajmniéj uwagi (podobnie jak to czynią wszystkie ambasady) na słaby rząd turecki.

W owéj porze stała na kotwicy w przystani fregata amerykańska, a nieszczęśliwy więzień ujrzawszy jéj flagę gwiaździstą, zdołał donieść kapitanowi o smutnym losie swoim.

Amerykanin przyszedł zatém w odwiedziny do niego. Że zaś to był jakiś dzielny, czystéj krwi Yankee, zażądał przeto od konsulatu natychmiastowego oswobodzenia jeńca, opierając się na zasadzie, że ponieważ Kosta wyrzekł się był pod przysięgą jego cesarsko-apostolskiéj mości wszech Austryi i przystąpił do obywatelstwa Stanów, pozyskał tém samém niezaprzeczone prawo do opieki każdego współobywatela przysposobionéj swéj ojczyzny, bezwzględnie na jego przeszłość.

Był to krok nader śmiały ze strony Amerykanina; nie

będąc on bowiem naczelną władzą z Washington'u, ani nie posiadając żadnego upoważnienia do obrony przybranego krajowca w obec rządu austryackiego, otrzymał od konsulatu odpowiedź odmowną na swe podanie, czy téż nie otrzymał żadnéj.

Wtedy, zagrzany niepowodzeniem, bierze rzecz całą na swą odpowiedzialność, stawia w szyku bojowym powierzoną mu flotyllę i zamierza szturmem odbić nieszczęśliwego.

Konsulat przewidując skutki awanturniczéj utarczki z yankesem o jednego człowieka i do tego w cudzoziemskim porcie, oddał Kostę w ręce kapitana, lecz zarazem protestował przeciw jego postępkowi, drogą dyplomacyi, żądając od prezydenta w Washingtonie skarcenia niesfornego oficera.

Tymczasem ten ostatni zabrawszy Kostę, przywiózł go z sobą do Nowego Yorku.

Na wieść o ich przybyciu mnóstwo mieszkańców wyległo na brzeg morski, i obydwóch wniesiono na ręku do miasta.

Kapitan dostał wprawdzie naganę od zwierzchności; lecz w krótce ona na mocy powtarzających się co cztéry lata wyborów ustąpiła innéj — a jego posunięto na stopień kommodora (wiceadmirała) nawy amerykańskiéj.

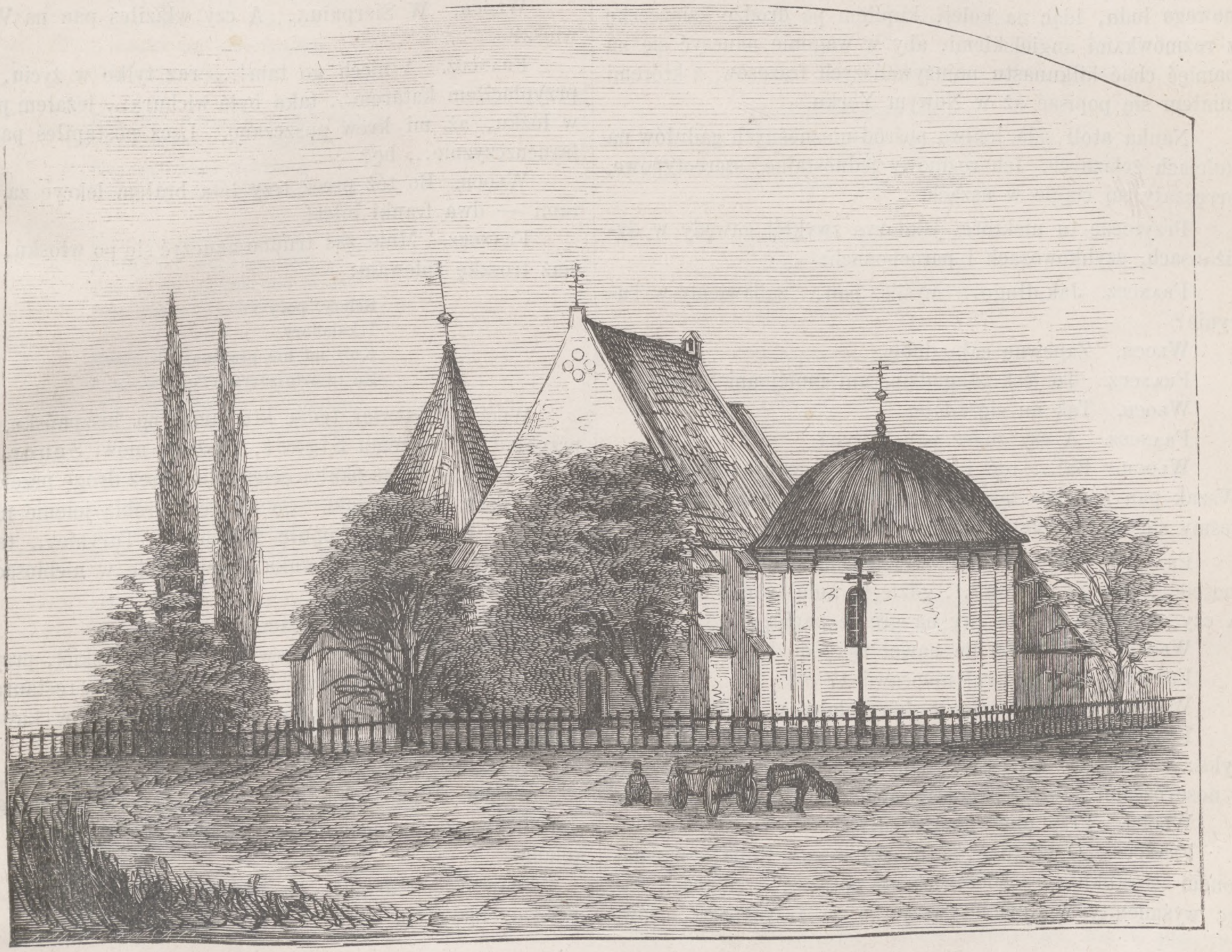
Widziałem nawet późniéj w Ameryce obraz ułożony z powyższéj sceny.

Przedstawiał on więzienie.

Przykuty do ściany, urodziwy, w sile wieku mężczyzna z czarną brodą spoczywał na barłogu. Był ubrany w węgierską czamarkę. Stojący przed nim w uniformie oficer marynarki amerykańskiéj, witał ofiarę wyciągniętą ku niemu po przyjacielsku dłonią. Drzwi kajuty za kratami były otwarte, a w głębi ciemnego korytarza ukazywała się wyprężona straż w białych mundurach.

Otóż, podobnie jak niegdyś Kosta, będąc wygnańcem na obcéj ziemi, bez przytułku i opieki, narażony na prześladowanie pierwszego lepszego rządu — gdyż wszystkie one są w pewném z sobą pokrewieństwie — duma moja musiała ustąpić potrzebie protekcyi. A wolałem szukać jéj u wolnych Amerykanów, niż u któregobądź z niewolniczych narodów europejskich.

I nie wahając się dłużéj w postanowieniu, puściłem się w podróż do zamierzonego kresu.



Kościół Św. Jana Jorozolimskiego w Poznaniu.

Nie dawno — pocieszałem się tą myślą że byłem nad Uralem, a obecnie na drodze do ojczyzny Washington'a; cóż to za przemiana!... Ależ ta sama siła — mówiłem wtedy sobie — niewidoczna potęga, która mi torowała drogę z pustyń azyatyckich ku cywilizowanemu Zachodowi, może mię też nie opuści, i kiedy jeszcze popchnie z zamorskiego świata z powrotem do Europy, a kto wie czy i nie w ojczyste strony.

I tak się stało.

Ale nie wyprzedzajmy zdarzeń. Z mocném tedy postanowieniem obrania dla się punktu oparcia w jedném z miast nowego ludu, idąc na kolej, kupiłem po drodze książeczkę z rozmówkami angielskiemi, aby w wagonie nauczyć się na pamięć choć kilkunastu najużywańszych frazesów, z któremi miałem się popisać aż w Nowym Yorku.

Nauka atoli szła leniwo pośród nieznośnych gadułów na kolejach żelaznych. Ich rozmowy jednostajne, stereotypowe, brzęczały mi ciągle w uszach.

Przytoczę tu niektóre, jako rys zwykłéj gawędy w dyliżansach, szybkowozach i parochodach:

Francuz. Jak długo... myślisz pan... zabawiemy w Turynie?

Włoch. Zapewne całą dobę.

Francuz. To jest 24 godzin, ani mniéj ani więcéj.

Włoch. Tak mi się zdaje.

Francuz. A czy znasz pan Turyn?

Włoch. Ba!... toć i tam mamy agencyą handlową... Wszak pan powraca teraz z Neapolu? Przypominam sobie, żeśmy się raz spotkali byli na placu Toledo.

Francuz. Przepraszam! widzieliśmy się w Rzymie na moście... jak się nazywa?... gdzie są aniołowie z marmuru. A czy oglądałeś pan te lwy na grobie papieża?

Włoch. Wtykałem im nawet rękę do paszczy.

Francuz. Co za lwy! nieprawdaż?

Włoch. Aaaa!... Gdzie pan jadałeś w Rzymie?

Francuz. Jadałem przy ulicy... mam ją na końcu języka... niedaleko miejsca, gdzie się chrześcianie potykali z nosorożcami... ot! gdzie jest niedźwiedź malowany.

Włoch. Przy ulicy niedźwiedziéj.

Francuz. Otóż to!... u Rinaldiniego. Zupa z parmazonem — stokfisz — soczewica — potrawa z zająca... zając wyśmienity w Rzymie! wszystko za trzydzieści susów. Do tego wino à discrétion... trochę kwaskowe, ale dobre. Dalipan, taniéj niż w Neapolu.

Włoch. Za to w Neapolu smakowity deser... cudne Neapolitanki.

Francuz. Hm! ślepia mają ogniste, ale są chude, przytém skóra ogorzała...

Włoch. Tak, tak! z tém wszystkiem co za kobiety!

Francuz. Ah!

Włoch. Istne djablice.

Francuz. Lucyperki. Można się doskonale zabawić w Neapolu. Tylko szkoda, że tak gorąco...

Włoch. W Sierpniu... A czy właziłeś pan na Wezuwiusz?

Francuz. A niech go tam!... raz tylko w życiu, i to przypłaciłem katarem... taka była wichura... leżałem potém w łóżku, aż mi krew puszczano. Lecz postąpiłeś pan we francuzczyznie... hę?

Włoch. Bo téż przez trzy lata brałem lekcye za biletami — dwa franki bilet!

Francuz. Mnie zaś trudno nauczyć się po włosku, chociaż troszkę śpiewam:

> Selery, pory
> I kalafiory;
> Któż mi nie przyzna,
> Że to włoszczyzna?

Włoch. Łatwiéj temu kto umie po hiszpańsku. Na przykład po naszemu Signor, Hiszpan mówi Senor.

Francuz. Patrz pan!... jeleń nam przez drogę przeleciał.

Włoch (poziewając). Co téż teraz robią jelenie niebo-racy?... Widać już kopułę kościoła w Turynie... tam... tam... owa błyszcząca plamka, kąpiąca się w niebiosach.

Francuz. Aha!

Włoch. Gdzież się obaczymy?

Francuz. Rozumie się, w kawiarni paryzkiéj, przy téj wielkiéj ulicy pod arkadami, gdzie jest zarazem restauracya.

Włoch. Pod arkadami restauracya, czy w kawiarni restauracya?

Francuz. Naturalnie, że w kawiarni... blizko rzeki Po.

Włoch. Wiem, wiem! tam gdzie arfiarki grywają, i gdzie starym zwyczajem piemonckim nalewają kawę razem z czekoladą.

Francuz. Właśnie!... a przytém zamiast bułek dają pieczony makaron.

Pielgrzymka do Kewlaar.

(Henryka Heinego.)

I.

Na łożu syn leżał blady
A nad nim czuwała matka,
„Czy nie powstaniesz Wilhelmie?
Patrz! śpiewa wiernych gromadka...“

„Jestem tak chory mateńko,
Że nic w méj duszy nie śpiewa...
Gdy wspomnę o zmarłéj Gretchen
Serce mi bólem nabrzmiewa...“

„Powstań — pójdziemy do Kewlaar“
Odrzecze matka synowi.
„Tam Przenajświętsza Dziewica
Twe chore serce uzdrowi...“

Szeleszczą święte sztandary
I słońce zwolna zapada...
To do Kolonii nad Renem
Dąży pobożnych gromada.

Matka podąża za ludem
I tuli syna do łona,
Śpiewają w chórze oboje:
O Maryo! bądź pozdrowiona!

II.

Najświętsza Panna w Kewlaarze
Odziana szaty lśniącemi,
Dziś wiele łask świadczyć musi
Bo wiele nędzy na ziemi...

Chorzy przynoszą jéj w dani
Ofiary skromne, dziecięce,
Z wosku zrobione figurki,
Woskowe nogi i ręce.

Kto rękę z wosku w dań składa,
Ten zdrowiem rękę użyźnia;
Kto daje nogę woskową
Temu się rana zabliźnia...

Niejeden przybył o kuli
A dziś już biega po linie...
Ten — co palcami nie ruszał
Dziś z gry na skrzypkach już słynie...

Matka do syna się zbliża
Z małém serduszkiem woskowém...
„To oddaj Pannie Najświętszéj,
A serce twe będzie zdrowém."

Syn westchnął — spojrzał na matkę
A potém w obraz cudowny,
Oko mu łzami nabiegło,
Z ust płynął żal niewymowny.

„O Ty! bądź błogosławiona
W przeczystych Aniołów chórze!
Królowo nieba i ziemi,
Tobie mą boleść wynurzę!

Mieszkałem z matką nad Renem
W Kolonii — pobożnym grodzie,
Gdzie lśnią kościołów wieżyce
O bladym słońca zachodzie.

A przy nas Gretchen mieszkała...
Lecz zmarło dziewczę kochane...
Maryo! masz serce w ofierze
Zabliźnij serca mą ranę!

Uzdrów me serce zbolałe;
A dusza moja stęskniona
Śpiewać Ci będzie co rano:
O Maryo! Bądź pozdrowiona!"

III.

Na łożu w cichéj komorze
Śpi syn i matka spoczywa,
Nagle do chaty z lazurów
Najświętsza Panna przybywa...

Schyla się zlekka do łoża,
I dłoń jasności promyka
Kładzie na serce choremu,
Patrzy nań chwilę i — znika..

Matka to we śnie widziała...
Dziwny jéj ciężar dolega —
Zrywa się ze snu wylękła
I drżąc do łoża przybiega...

Tam leżał syn jéj — nieżywy!
Z białym krzyżykiem u ręki,
Lecz twarz miał jasną, pogodną
Jak gdyby odblask jutrzenki..

Matka spojrzała w niebiosa,
Klękła — i łzami zroszona
Szepnęła usty drżącemi
„O Maryo! bądź pozdrowiona!"

Aleksander Kraushaar.

LISTY POPULARNE O MUZYCE.

II.

(Ciąg dalszy.)

Czwartą cechę trudno wyjaśnić temu, co nie zna harmonii. Może uda się to w sposób następujący. Wyobraźmy sobie pojęcie „człowiek" a przedstawi nam się rozmaitość członków, które razem wziąwszy, tworzą postać ludzką (jedność).

Jedność „człowieka" wyobraźmy sobie w muzyce pod jednością skali; rozmaitość członków ludzkich przez leżące w skali stopniowo po sobie następujące tony.

Ludzie dzielą się na dwa rodzaje, mężczyzn i niewiast. Tak samo mamy i w muzyce dwa r o d z a j e t o n ó w, twarde i miękkie czyli skalę dur i skalę mol.

Różnią się one od siebie przez kilka innych interwali, przez co powstaje męzki i żeński charakter. Męzka, twarda skala utworzoną została bezpośrednio z natury współwibrujących tonów, jest pierwotną, konsekwentną, Adamem; żeńska Ewa, utworzoną została z męzkiéj, ma w jednym interwalu miększy, w drugim twardszy charakter, jest podnosząc się inną a inną zniżając, a więc mniéj konsekwentną i zmienniejszą niż skala dur, lecz mimo to nader przyjemną.

Wychodząc z każdego tonu można naśladować dwie te skale; ponieważ zaś dwanaście mamy rozmaitych tonów, przeto istnieje dwanaście skal twardych i tyleż miękkich, które co do swéj istoty, są sobie wprawdzie zupełnie równe, lecz różnią się od siebie przez wyższe położenie, podobnie jak rozmaite rasy ludzi. A więc: człowiek to skala; rodzaj to dur i mol; rasy ludzkie to rodzaje tonów. Melodya może w j e d n é j tylko leżeć skali, a wtedy jest modulującą odpowiednio do skali lub może być przeplataną innemi skalami i staje się przez to wybiegająco-modulującą.

Pierwsza ma największą jedność modulatoryczną, druga mniéjszą, i może przez ustawiczne zboczenia do inncyh rodzajów tonu stracić zupełną pod tym względem jedność. Jest wiele pięknych melodyi, które albo zupełnie trzymają się w obrębie jednego rodzaju tonów lub też krótkie bardzo robią zboczenia i znowu zaraz do poprzedniego rodzaju tonu (główny rodzaj tonu) wracają. Wspomniana wyżéj melodya weberowska leży w C-dur, robi w dwunastym tylko takcie małe zboczenie ku F-dur i zwraca się znowu do C-dur.

Jeżeli teraz do podanych cech dodamy to, co w pierwszym liście opowiedzieliśmy o takcie, o tempie, to melodyę weberowską w jednogłosowéj swéj postaci tak wytłumaczyć można.

Melodya ta jest jednością, bo ma 1, jeden rodzaj taktu, 2, jako tempo, 3, jeden główy rodzaj tonu, 4, na końcu zupełne zakończenie, 5, rytmicznie równe i podobne, 6, tonicznie równe i podobne motywa, oddziały, zdania i peryody.

Melodya ta jest daléj rozmaitością, bo 1, w tym samym rodzaju taktu i tempo ma rozmaite rytmiczne i toniczne figury, 2, w tym samym rodzaju tonu, rozmaite rodzaje akordów, i 3, rozmaite punka odpoczynku. Przez wszystko to nabiera pojedyńczą, regularną, pojętną i dla tego przyjemną postać.

Teraz proszę uważać! To, com tu okazał na melodyi weberowskiéj, stosuje się do wszystkich melodii i myśli muzycznych.

Mianowicie nie ma ani jednego muzycznego peryodu, któryby nie obejmował w sobie różnych lub podobnych rytmicznych motywów. Gdyby kiedy ukazać się miała wyjątkowo melodya o ósmiu taktach, pojedyńczy peryod bez równych zupełnie lub podobnych motywów, to cały peryod się powtarza lub powtarzanie manifestuje się w towarzyszeniu, (acompagnement) t. j. w głosach towarzyszących, o czém późniéj mówić będziemy. Jeżeli tedy rzeczone cechy znajdują się w każdéj melodyi, to użycie ich i mięszanie doprowadza do rozmaitości bez końca.

Są pieśni ludowe, które ósmiotaktowym pojedyńczym lub szesnastotaktowym podwójnym peryodem się kończą. Lecz są także i sztuki muzyczne, uwertury n. p. które dwieście do trzyztu taktów i dwieście do trzystu motywów w sobie mają, a więc z bardzo wielu znanych peryodów muzycznych, czyli pojedyńczych muzycznych myśli są złożone.

Gdyby teraz każdy peryod pojedyńczy przywiązany był tylko do ósmiotaktowego kształtu i każdy peryod podwójny tylko do szesnastotaktowego, to powstałby ztąd monotonny porządek, będący dla nas równie nieprzyjemny jak sam nieporządek.

By tego uniknąć, przekształca się peryod w kilkoraki sposób, ściąga się do sześciu taktów lub rozszerza do 9, 10, 11, 12, 13 taktów i t. d. Przez to, że się tworzą podwójne a może i potrójne peryody jednéj lub drugiéj równéj części taktów n. p. dwa razy sześć lub dwa razy dziesięć taktów i t. d. lub różnéj liczby taktów, jednéj n. p. z ósmiu, drugiéj z dwunastu taktów, wprowadza się wielka rozmaitość do budowy peryodów i grup sztuk muzycznych. Zdania muzyczne traktują się przytem tak zupełnie jak myśli w mowie. Składnia ma również rozmaite dłuższe lub krótsze peryody, niekiedy nawet tylko zdania jak i muzyka.

Równie monotonnemi byłyby pod tym względem dłuższe sztuki muzyczne, któreby się trzymały jednego wyłącznie rodzaju tonu. Im większą jest przeto sztuka muzyczna, w tém więcéj zbacza się czasowo gatunków tonu, by i tu wywółać rozmaitość, bez któréj my ludzie, przyzwyczajeni do zmian, zadowolnić się nie możemy.

Dalszą rozmaitość we wnętrzu peryodu osięgnąć można przez wprowadzanie mniejszéj lub większéj ilości byłych motywów i członków motywów lub zupełnie nowych. Są melodye, wysnute z jednego tylko członka motywu, inne z jednego tylko motywu, lecz są i melodye, obejmujące dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, nawet naraz siedm nowych od siebie różnych motywów.

A co się w peryodzie okazuje, okazuje się we wszystkich sztukach muzycznych. Nie ma żadnéj, któréjby peryody były wszystkie zupełnie nowe, któréjby pojedyńcze melodye różniły się wszystkie pomiędzy sobą. W każdéj większéj sztuce zdarzają się powtarzania całych peryodów lub przynajmniéj zdań, oddziałów i t. d. Podobne powtarzania nazywają „pracą tematyczną“ a jest ona znowu środkiem, nadającym całéj sztuce jedność, a tém samém jasność. Nazwano ją i to z zupełną słusznością logiką języka muzycznego. Jak mowa ma zdanie główne, które tytuł zapowiada, n. p. „O melodyi czyli myśli muzycznéj“ a wszystkie pojedyńcze zdania i myśli o tém główném mówią, oświecają je i tłumaczą z rozmaitych stron, tak i każda sztuka muzyczna ma temat główny, melodyę główną, podającą poniekąd tytuł uczucia i charakteru a którą wszystkie następujące rozwijają peryody.

Jeżeli melodya takie ma figury i rozczłonkowanie pojedyńcze, że kształt jéj dla wszystkich słuchaczy równie jest zrozumiałym i jasnym, nazywamy ją melodyą popularną. Takie melodye mieszczą w sobie mniéj lub więcéj wszystkie pieśni ludowe, wiele melodyi w operach Moniuszki, Webera i t. d., dzieła Haydn'a a nawet Beethowena. Prócz takich melodyi ukazuje się w większych sztukach wiele myśli muzycznych, którym miana melodyi nadać nie można, ponieważ nie są tyle jasnemi w swéj konstrukcyi.

Z sądem o takich myślach byliśmy dotąd aż nadto skorymi, nazywając je niemelodyjnemi, a w najlepszym razie uczoną muzyką. Nazwijmy je więc w przeciwieństwie do poprzedniéj muzyki popularnéj, muzyką uczonych, choć przez to nie chcemy twierdzić bynajmniéj, aby była bezwarunkowo potępienia godną. Jasność muzyki bowiem jest nader względną, a co dla nieznawcy zdaje się być niejasném i niezrozumiałém, nie jest nim dla znawcy.

Ponieważ teraz wiemy, choć byliśmy dawniéj nieznawcami, że równe i podobne małe części (członki motywów, motywa, oddziały i t. d.) w każdéj znajdują się melodyi i ponieważ przy jéj zaczęciu ich wyglądamy, przeto łatwo nam będzie dostrzedz gdzie i kiedy się ukażą. Każdy wykształcony muzyk który się uczył i ćwiczył od lat mło-

dzieńczych, który wielką posiada w sztuce słuchania biegłość, w pierwszéj zaraz chwili je odgadnie.

Teraz jasném nam będzie zkąd pochodzi głęboka i szeroka otchłań w sądzie i przyjemności, jaka między znawcami muzyki i nieznawcami istnieje. Niezaprzeczona ta prawda jest jednak niestety zarazem i miejscem ucieczki, dokąd schronić się mogą błąd i niezdarność kompozytora.

Niektórzy starają się wmówić w biedną publiczność: „Ty nie rozumiesz, lecz potomkowie twoi będą mnie umieli ocenić i pogardzać i wyśmiewać cię będą!“ Naturalnie znajdują podobnie błądzący zawsze pewną ilość ludzi, chcących być szczególniejszymi znawcami, którzy przywtórzając mu wykrzykują: „My go pojmujemy, i my — uznajemy go!“

My odtąd, łaskawi czytelnicy, nie damy się już przez to w błąd wprowadzić, bo choć rzeczy tego świata rozmaicie naginać się dadzą a więc i prawidła co do utworów sztuki, to jednak istnieją granice pewne, przekroczenie których nie jest postępem tyle obecnie zachwalanym.

Mimo to spotykać się dają niekiedy myśli muzyczne, niezrozumiałe zupełnie, a których nierozsądku nieznawca dotąd jasno poznać nie mógł. Teraz pojmiemy już łatwo, że podobne myśli muzyczne są nie tylko teraz lecz i w przyszłości niemożliwe, gdyż są absolutnie nierozsądnemi.

Zapyta ktoś może jak podobna ażeby artysta pracując i posiadając jasny pogląd na istotę, prawa, cele i możliwe granice sztuki, jak może pomijać jéj warunki?

Liczba artystów, którzy grzeszą przeciw niezmiennym prawidłom muzyki, była stosunkowo zawsze bardzo małą. Lecz zajmowanie się wyłączne sztuką nie chroni od wszystkich błędów. Ćwiczenie wzmacnia siły, świadomość tych sił prowadzi niekiedy do ich przecenienia a wtenczas wybryki nie są niczém niezwyczajném. Głównym powodem prowadzącym na manowce bywa często długie zajmowanie się jedném dziełem sztuki. Symfonia n. p. wymaga nader wielu powtarzań rozmaitych procedur od pierwszéj surowéj myśli aż do ostatniéj nóty. Cóż tedy może być naturalniejszego, jak że twórca jéj pozna dokładnie wszystkie myśli aż do najdrobniejszych ich części. Dla niego nic tu nie jest niezrozumiałem i ciemném. Sądzi on że i dla innych utwór jego jasnym i zrozumiałym być powinien i w tém właśnie błąd jego leży.

Inny jeszcze rodzaj kompozytorów tworzy rzeczy ciemne i niezrozumiałe z nieumiejętności. Chcieliby oni stworzyć rzeczy wielke i podziwu godne, lecz nie przeszli szkoły ścisłéj, która głównie nadaje zdolność wytworzenia i wyrażenia idei w sposób wyraźny, ujmujący, dla każdego zrozumiały i przyjemny.

Uwagi w liście tym zawarte tyczą się ciała, organizmu technicznego, melodyi i myśli muzycznych. W jednym z następnych listów zająć się będziemy musieli duchową stroną muzyki, a wtenczas ukaże się nam ona w całym swoim blasku.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Było to już późną jesienią i dobrze po północy, ja spać nie mogąc paliłem światło i siedziałem tu w tym krześle, ale słyszałem dobrze przez otwarte drzwi do alkierza, że matka nie spała także i wzdychała ciężko od czasu do czasu. Wtém zapukał ktoś do okna. Mamy psa czujnego i zdziwiło mnie, że nie zaszczekał.

„Kto tam?“ pytam.

„Ja, Staś ojczuniu!“

Poskoczyłem ku drzwiom, matka zerwała się na równe nogi ku drzwiom.

Nie Staś ale stwór człowieka wstąpił do pokoju, wychudł i szczerniał, gdzieś ani rumieńca ani osoby, gdyby niebył do nas przemówił nie bylibyśmy uwierzyli, że to nasze dziecko. Kiedy go matka uściskała serdecznie, krzyknął boleśnie:

„Mamo powoli, bo ja ranny.“

Jakoż był dwa razy ranny w rękę i w udo, a na domiar jeszcze, kiedy się pod Sandomierzem przeprawić chciał przez Wisłę, dopadło go kilku kozaków i tak go nahajkami ścięli, że miał całe plecy czarne. Upadł na ziemię zbity i pokrwawiony i leżał przeszło dobę na piasku nad Wisłą. Jakiś rybak wziął go do swéj łodzi i odstawił go do naszego brzegu. Idąc od wsi do wsi żył z jałmużny i łaski dobrych ludzi, pokąd się do nas nie dostał. Obiedwie rany ślimaczyły się jeszcze, ale więcéj od nich cierpiał na to obatożenie.

Matka zrobiła mu kąpiel, obmyła rany i obolałe ciało, zemdlał trzy razy w téj kąpieli, żądał aby prosić księdza i zdało nam się że na to tylko powrócił do domu, abyśmy go przytulili jeszcze do serca i pochowali uczciwie. Przybył ksiądz, wyspowiadał go i pocieszył, ale zrobił nam dobrą nadzieję, przybył lekarz, (a mieliśmy tu bardzo zacnego lekarza), opatrzył go, posiedział przy nim więcéj dwóch godzin i powiada:

„Jeśli się z nędzy ogarnie i pocieszy, to przyjdzie do sił i do zdrowia — rany nie straszne, a jeśli się z tych batogów wyleczy, będzie zdrów jak ryba.“

Matka włożyła go w swoje łóżku, co dzień robiliśmy mu kąpiel, nim zasnął płakał, a potém spał i spał, powoli tylko przywykał do jadła, ale po sześciu tygodniach wygoił się i z tych ran i z tego obatożenia, a kiedy wyzdrowiał zupełnie, prosił mnie abym zapisał go do górniczego cechu, i odtąd pracujemy razem i spuszczamy się codziennie do szybu.

O Kazimierzu nie było słychać, bił się, szył się i po Krakowie i po Warszawie, włóczył się po tém po Niemczech i Węgrzech, ale nie służył wojskowo i w półtora roku dopiero po upadku wojny powrócił do domu.

Wojna skończona, pomyślałem sobie, to kiedy się nie żenił przed wojną, niech się po wojnie żeni, ale on rozebrał sobie bardzo i głośno począł mówił między ludźmi: „co, ja bym się z jakąś dziewką w Wieliczce żenił? to nie te już czasy, gdybym się chciał żenić, to mi w każdym dworze pannę dadzą“, i mało przebywał w Wieliczce, ale to gdzieś albo w Krakowie bawił, albo po dworach jeździł.

Biedna dziewczyna wzięła to tak sobie do serca, że nikła w oczach widocznie, nikła i nikła i do roku zmarła. Matka nie bywa odtąd na sumie w kościele i nie bywa na żadnych odtąd ani chrzcinach, ani na weselu, choć ją wszędzie proszą, bo nie śmiemy ludziom spojrzeć w oczy, że przez syna naszego takie poczciwe dziecko poszło do grobu.

Więc tak tylko na prymarye przejdziemy do kościoła naszych księży, o potém zaułkami wracamy do domu. Nie bywamy nigdzie i nikt u nas nie bywa. Kiedy nie chcesz być górnikiem, mówiłem Kazimierzowi, kiedy ściągasz książki i papiery, to bierz się do pióra i rozpocznij praktykę w urzędzie. Jakoż uprosiłem panów naszych, aby mu pozwolili pracować na zamku w kancelaryi żupnéj. I przyjęli go na prośbę moją i miał lepszą płacę niż my mamy od naszéj roboty i zdawało się, że przyszedł do opamiętania. Umieszczono go przy archiwach urzędu żupnego, bo umiał dobrze czytać stare charaktery i lubiał szperać w starych papierach. Ale z tąd poszło całe jego nieszczęście, bo wynalazł jakieś papiery i mapy starych górników i po nich począł szukać nieznanych szybów w kopalni, do których się dziś już żaden żywy człowiek nie spuszcza i począł po papierach starych żupników szukać „królewskiéj skrytki“ w któréj jakieś wielkie skarby mają być ukryte.

Czy to prawda, czy nie prawda, Bóg tylko wiedzieć raczy, ale to widzimy jasno, że mu się odtąd przewróciło we łbie. Czy może go śmierć téj dziewczyny tam gryzie, czy niepokój o te skarby których szuka, dość, że nie ma pokoju we dnie, ani w nocy; rysuje jakieś mapy zapadłych szybów i chodników, liczy i rozmierza te mapy na sążnie i kroki, mówi że jedne gdzieś daleko aż po pod Wisłę przechodzą, drugie aż do Bochni i gdyby mu skarbnik, co żup Wielickich strzeże, przeszkody nie stawiał, byłby już dawno doszedł do skrytki królewskiéj i skarbów.

„Cóż to za skarbnik?“ zapytałem.

Stary górnik rzucił rękę i rzekł smutnie.

„A jużciż wszyscy my górnicy wiemy o nim i znamy go. Jest to duch, niepewny jakiegoś żupnika, co w kopalniach pokutuje, ale do człowieka co poczciwie wierzy i w pracy żyje, nie ma on prawa. Przyjdzie on czasem i przypatruje się robocie naszéj, prosi o ogień i światło bo w wiecznych ciemnościach żyje — otóż trzeba mu podać światło na kilofie, ale z ręki do ręki nie można, a do duszy tego górnika ma on tylko prawo coby się w kopalni upił albo usnął przy robocie. Tedy poczyna trwożyć naprzód snami, a następnie ma już prawo do ciała duszy. Nie jeden górnik tak zginął. Kazimierz chodzi ze skarbnikiem o lepsze, więc nie wiem na czém to się skończy. Jak co grosza uzbiera zakupuje światło i żywność, bierze z sobą kilka kłębków nici, aby mógł snuć ślad za sobą i wracać po nitce, i spuszcza się czasem na cały tydzień do kopalni, a powraca wynędzniały i chory, bo w zapadłych szybach i chodnikach czołga się nie raz na brzuchu po całych godzinach, a potém znowu wchodzi w chodniki i sklepione komory tak wysokie jak kościoły krakowskie. Dziwne rzeczy opowiada on o tych zapadłych szybach, i czy doprawdy widział to wszystko o czém mówi, czy mu się przywiduje tylko — trudno wyrozumieć.

Brał on już piękną płacę przy urzędzie żupnym, ale cóż kiedy nie pilnował godzin i stracił miejsce. Na czym to się ma skończyć nie wiem. Prawdopodobnie zginie marnie bez Boga i pogrzebu, bo wpadnie w jaką przepaść i nikt mu nie da ratunku. Otóż i teraz miły Panie trzy dni czekamy, a on nie wraca. Ja jestem stary górnik, a gdybym się tak pojeden po zapadłych szybach i chodnikach puścił to nie wiem, czyby mi się nie zmąciło w głowie.

(C. d. n.)

KOŚCIÓŁ Ś. JANA JEROZOLIMSKIEGO W POZNANIU.

(Z ryciną.)

Gdy błogie światło wiary chrześcijańskiéj rozjaśniało wśród Słowian, a pyszne świątynie przypominać im zaczęły, że człowiek nie dla ziemi stworzony, korzyć się powinien przed Stwórcą jako jedynem źródłem wszelkich doskonałości — wtedy lud ten słowiański, porzucając coraz więcéj swe bałwany, w miejscach najbardziéj zwiedzanych i uświęconych przez odległość czasów stawiał przybytki prawdziwego Boga, w nich się na modlitwę zgromadzając. Jeszcze do dziś pozostały w kraju naszym zabytki takich budowli z pierwszych czasów chrześcijaństwa, a do nich nie wątpliwie i kościół św. Jana Jerozolimskiego, czyli Kawalerów Maltańskich, który przedstawia rycina, zaliczonym być może. Ślady o nim nie sięgają wprawdzie daléj jak do XII wieku, lecz niewątpliwe istniał on już dawniéj. Budowa jego lubo starożytna w stylu gotyckim nie sięga jednak tak odległych czasów ani równa się budowie innych, z pierwszych czasów chrześcijaństwa świątyń jakimi są n. p. kościół w Gieczu lub św. Idziego w Krobi. Kościół ten stojący za przedmieściem zwanem Śródka, przy zwirówce do Swarzędza prowadzącéj, istniał pierwotnie pod nazwaniem św. Michała Archanioła. Mieczysław Stary sprowadził do niego około r. 1170 Kawalerów św. Jana Jerozolimskiego

który mu tytuł swój nadali. Na początku zeszłego wieku M. Dąbrowski, jenerał-major wojska polskiego, komandor poznański, przybudował do tego kościoła piękną kaplicę, którą na groby komandorów poznańskich przeznaczył, w której spoczywa także ostatni komandor poznański Andrzej Marcin Miaskowski*) herbu Bończa. Świątynia ta dziś już znacznie zapadła w ziemię, a mała nad kruchtą wieżyczka od niedawnego czasu znacznie pochylona, zdaje się grozić upadkiem. W kościele tym znajdują się trzy sklepy w których niegdyś chowano: w pierwszym przed wielkim ołtarzem kawalerów maltańskich, w drugim szlachtę, a w trzecim osoby rozmaitego stanu. Kościół w mowie będący, miał być dawniéj bardzo hojnie uposażony, dziś służy za kościół parafialny wsi Żegrza, Ratai, Chartewa, Główny i t. d. Wewnątrz prócz pięknéj gotyckiéj struktury, nie zawiera w sobie żadnych pomników, tylko trzy okrągłe, w szczycie facyaty trójkątem ułożone, w klęsłości pokazuje lud jako wielkość bochenka chleba za ówczesny grosz, kiedy świątynie te stawiano, jako symbol zachęcający do modłów o odwrócenie głodu.

*) Łukaszewicza Opis Poznania.

Szarada.

Na cześć pierwszego hymny śpiewacie,
Wszystek ma drugi w warsztacie.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 27: *Kapusta.*)

Korespondencye Redakcyi.

WWPP.: Zakrzewski Osiek, Ofierzyński Chwałkowo, Nieżychowski Granówko, hr. Kwilecki Dobrojewo, Łakomicki Dąbrówka, Graeve Karolewo, hr. Żółtowski Niechanowo, hr. Skórzewski Raszkówek, Turno Słopanowo, hr. Potworowski Gola, Drwęski Starkowiec, Trąmpczyński Pawłowice, Iłowiecka Plebanka, hr. Szółdrski Gąsawy, hr. Tyszkiewicz Siedlce, Węsierska Podrzecze, hr. Węsiersko-Kwilecki Wróblewo, Jeszke Głuchów, Szumann Władysławo, Poleski Kopaszewo, Sperowski Landsberg, donosimy, iż prenumeratę przekazaliśmy poczcie — prosimy o zgłoszenie się po numera Sobótki do najbliższego urzędu pocztowego. — P. Kalinie w Maju: Niechcemy wywdzięczać się Pięknem za nadobne. Tego który nadużył imienia Pani, odsyłamy do artykułu zamieszczonego w Sobótce O wychowaniu. Co do nas oba wierszyki bardzo sie nam podobały. — Panu J. w B. pod Inowrocławiem: Przez omyłkę posyłka jeszcze nie jest wysłaną. Za dwa dni dojdzie rąk jego. — Panu Dr. K. w Inowrocławiu: Przypominamy się. — Panu W. S. w Poznaniu: W piśmie naszém wiersze Pańskie drukowane nie będą. — Pannie Maryi X. w Poznaniu: Parę jest bardzo ładnych — w przyszłym tygodniu zamieścimy.

Ogłoszenie tymczasowe
na
ZBIÓR POWIEŚCI J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pisarze, żyjący wśród narodów, umiejących cenić talent, pracę rzetelną i zasługę prawdziwą, mają prawo domagać się od społeczeństwa, aby jeszcze za ich życia zajęto się zbiorowém wydaniem ich utworów.

Francuzi, Anglicy i Niemcy zaczęli w rzeczy saméj ogłaszać w ostatnich czasach zbiorowe edycye pisarzów współczesnych, a przyjęcie jakiego podobne wydania doczekały się u publiczności, przemawia najlepiéj za stosownością téj myśli.

U nas dopiero po śmierci znakomitych pisarzy porządkowano i wydawano ich prace. O edycyach zupełnych, dokonywanych pod okiem autorów, nikt jeszcze nie pomyślał. Pragnąc w tym względzie dać dobry przykład i drugich zachęcić, rozpoczynamy w imię Boże z dniem 1. Października r. b. zupełną edycyę powieści naszego powieściopisarza J. I. Kraszewskiego, która wyjdzie pod napisem:

Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego.

Będzie to wydanie przejrzane, poprawione i uporządkowane przez autora.

Nie miejsce tu chwalić dzieła i zasługi J. I. Kraszewskiego. Dość powiedzieć, że całe pokolenie on nauczył czytać, że on uszlachetniał nasze serca, że on wreszcie był wiernym i sumiennym historykiem swojego kraju Kraj chwytał też skwapliwie każde jego słowo — czego najlepszym dowodem to, że wszystkie jego dawniejsze powieści zostały już wyczerpane.

Powieści Kraszewskiego dzielimy na dwa okresy. Pierwszy sięga po r. 1862, drugi następuje po r. 1862. Po ukończeniu okresu pierwszego, przystąpimy do okresu drugiego. Wydanie będzie staranne, ozdobione portretem autora, na pięknym białym papierze, zupełnie jak Brockhausa „Biblioteka pisarzy polskich", a cena będzie tak niska, że odtąd powieści J. I. Kraszewskiego powinne znajdować się w każdym polskim domu. W Sierpniu rozpiszemy przedpłatę i podamy bliższe szczegóły. Tymczasem nadmieniamy, że w W. Ks. Poznańskiem prenumerata ½-roczna kosztować będzie 4 talary. W razie znacznego współudziału ze strony Publiczności, cenę zmniejszymy jeszcze o połowę. Nie o zysk nam idzie, ale o jak największe rozpowszechnienie dzieł tak potrzebnych dla naszego narodu. Do roku wyjdzie od 18 — 20 tomów, które dawniéj kosztowały przeszło 30 tal.

Z początkiem każdego ćwierćrocza rozsyłać będziemy tomy z góry, za kwartał. Dnia 1 Października wyjdzie pierwszych 5 tomów. Publikacyę rozpoczynamy od Dwóch światów.

Prosimy o łaskawe poparcie przez jak największe rozpowszechnienie niniejszego ogłoszenia.

Lwów, dnia 1 Czerwca 1871.

A. J. O. Rogosz, K. Piller, Gubrynowicz i Schmidt.

Odwołujemy się na powyższe ogłoszenie z tém dodatkiem, iż pierwsi 200 abonenci na: Zbiór powieści J. I. Kraszewskiego, którzy zarazem są i abonentami Sobótki otrzymają powieści Kraszewskiego za zniżoną cenę prenumeracyjną 6 tal. 10 sgr. rocznie, 3 tal. 5 sgr. półrocznie za 18—20 tomów rocznie. Prosimy o wczesne zamówienia.

M. Leitgeber i Spółka.

Od Redakcyi Sobótki.

PODRĘCZNA ENCYKLOPEDYA POWSZECHNA

w dwóch wielkich tomach z atlasem.

Jako premium dla prenumeratorów Sobótki.

Dążeniem naszego wieku jest popularyzacya wiedzy, a jednym ze środków ku temu — są Encyklopedye, przedstawiające zupełny i wszechstronny obraz wiadomości ludzkich. Ale kiedy zazwyczaj zbiorowe te dzieła starają się traktować naukę najobszerniéj, my bierzemy sobie za cel naszego zadania dać także ile można najwięcéj — ale krótko i treściwie.

Wszakże nie każdy i nie zawsze może i chce szperać w wielutomowych dziełach, odczytywać kilkunasto-stronnicowe artykuły, dla znalezienia jakiéj pobieżnéj wiadomości, jakiegoś nazwiska, pojęcia, obcego wyrazu, wypadku, daty, cyfry, lub mniéj znaczącego faktu, już to przy czytaniu pism peryodycznych, książek, już w czasie potocznéj rozmowy, dla poparcia poglądów, pism i t. p. — zgoła dla dopomożenia natychmiast pamięci, lub zapełnienia przerwy skutkiem czasu zrządzonéj. Treściwy dykcyonarz encyklopedyczny, niewielki objętością, na jednéj kartce, na pierwszy rzut oka dostarczający nam żądanéj wiadomości, krótko ale pewnie zebranéj — może w takim razie i w tysiącznych innych wypadkach, wyświadczyć prawdziwą przysługę i okazać się użytecznym.

Lecz Encyklopedyi takiéj brakuje dotąd naszemu piśmiennictwu i niedostatkowi temu pragniemy zaradzić.

W tym celu wykonany nasz Dykcyonarz encyklopedyczny — ową w skróceniu wiedzę ludzką — podajemy Czytelnikom, aby na rzut oka wszystko znaleźć i we wszystkiem objaśnić się mogli.

Dwa tomy w 8vo dużego formatu, około 120 arkuszy obejmujące ścisłego druku, zajmujące mało miejsca na każdym stoliczku obok kałamarza, zdołają każde żądanie zaspokoić, objaśnić, na każde zasadnicze pytanie odpowiedzieć, wątpliwość rozwiązać, każdy spór rozstrzygnąć i we wszelkiéj potrzebie usłużyć. Dzieło to postaramy się tak wykonać, aby w każdym domu stało się nieodzownie potrzebniejszém, niż wszelka inna książka.

Aby tego dopiąć, podręczna Encyklopedya powszechna oprócz ogólnéj wiedzy, zawierać będzie artykuły dotyczące n. p. ziemioznawstwa, opisu krajów, historyi ludów, ich literatury, sztuk, zamożności, stosunków wzajemnych, urządzeń społecznych, zgoła wszystko co tylko może służyć za przewodnika, co ułatwi kierowanie się, oraz wynalezienie na prędce żądanéj wiadomości.

Robiemy tu jeszcze uwagę, że żaden przedmiot nie jest w tym podręczniku pominięty, wszystko co się dotyczy wiedzy ludzkiéj będzie tam zamieszczone. Artykuły z nauk przyrodniczych jak można najobszerniéj będą traktowane, zwłaszcza ile te ogólne zastósowanie znalazły n. p. w handlu, rękodziełach, rólnictwie i naukach ścisłych. Ze szczególną troskliwością opracowane są życiorysy, historya, ziemioznawstwo (geografia) i państwowy stan krajów. Z techniki i rzemiosł, objaśniono wszystkie szczegóły według popularnéj terminologii, wyrazy z obcych narzeczy wzięte również zostały wytłómaczone, wraz ze sposobem jak się powinny wymawiać.

Kreśląc tak śmiały program, aby niewydał się przesądą, wyjaśniamy, iż za materyał posłużyło nam podobne dzieło w języku niemieckim obecnie wychodzące p. t. „Meyers Hand-Lexikon des allgemeinen Wissens“, tudzież Bouilleta obie podręczne encyklopedye, prócz mnóstwa zbiorów i dzieł specyalnych. Naturalnie, iż najobszerniéj traktowane będą przedmiota polskie i słowiańskie, ku czemu wytężymy wszelkie usiłowania i ku czemu współdziałanie wielu literatów polskich mamy przyrzeczone.

Dla dokładniejszego zrozumienia wielu przedmiotów, niż to mogą dać choćby najobszerniejsze opisy, służyć będą drzeworyty i tablice, a zwłaszcza mapy, które do naszego dzieła dołączymy, a mianowicie:

1. Karta nieba na półkuli północnéj.
2. System planetarny.
3. Geologiczne przecięcie ziemi (idealne).
4. Karta klimatologiczna ziemi (temperatura, deszcze, wiatry, przypływ morza etc.)
5. Karta pasów kruszcowych na ziemi.
6. Karta stref roślinnych.
7. Karta rozłożenia pożytecznych i szkodliwych zwierząt.
8. Karta pasów urodzajnéj ziemi.
9. Karta zaludnienia.
10. Karta zaludnienia według ras.
11. Karta mieszkańców ziemi według języków.
12. Karta mieszkańców ziemi według wyznań.

Ażeby dołączenie kart dotyczących geografii politycznéj i historycznéj było możliwém, potrzeba tylko szczerego współudziału publiczności.

Nadto w samym tekscie pomieszczone zostaną illustracye, objaśniające: Anatomią, Technologią i wiele innych nauk. Wszystkie mapy, karty i drzeworyty wykonane są starannie, aby służyły do istotnego użytku.

Dzieło to tak ważne i użyteczne, postanawiamy ofiarować jako premium wszystkim stałym abonentom Sobótki od 1. Lipca 1871 r. po cenie **tylko 5 talarów za exemplarz z atlasem**, nie abonujący Sobótkę zapłacą za komplet bez atlasu 7 tal. 15 sgr.

Odwołujemy się więc do ludzi oświeconych i do szukających oświaty, odwołujemy się i do mężczyzn i do niewiast z prośbą o rozpowszechnienie wiadomości o naszém wydawnictwie i jego warunkach. Spieszmy pokazać Czytelnicy, że solidarność w uczciwych i ogół obchodzących sprawach istnieje u nas jeszcze!

Encyklopedya jako dodatek do Sobótki, wychodzić zacznie od 1 Października roku bieżącego i przesyłaną będzie prenumeratorom w zeszytach co miesiąc, za opłatą 18 sgr. co kwartał. Prenumerata na całość z atlasem z 120 arkuszy złożoną wynosi 5 tal. Za każdy zeszyt miesięczny z przesyłką 6 sgr. przesyłając najmniéj na 3 zeszyty z odnowieniem prenumeraty przed wydaniem każdego trzeciego zeszytu.

W Warszawie Adam Wiślicki.

W Poznaniu, M. Leitgeber i Sp.

Wydawnictwo Sobótki.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).